

Czwarta władza w służbie kapitału

27 lipca 2016

Najnowsza fala protestów społecznych we Francji wywołała wściekłość mediów. W nagonce na strajkujących związkowców nie ma wprowadzić nic nowego, ale jej skala oraz skrajnie antydemokratyczna retoryka każą mówić o nowej jakości. Poziom antypracowniczego zaangażowania mediów odpowiada poziomowi ich podporządkowania wielkiemu kapitałowi.

„Francji zagrażają obecnie dwie rzeczy, różne, lecz obie narażające jej integralność: ISIL (Państwo Islamskie) i CGT (Powszechna Konfederacja Pracy)”. Wielkie dzięki dla Franza-Oliviera Giesberta, że wyraził w ten sposób ducha francuskiego dziennikarstwa, pozostającego dziś na usługach polityki i finansów. „To dopiero początek naszej walki z CGT” – zapowiada gwiazda dziennikarstwa z Le Point w artykule otwierającym numer o „Prawdziwej historii francuskiej choroby. Blokada, przemoc, CGT, model społeczny” (2 czerwca 2016).

Od referendum dotyczącego traktatu w Maastricht w 1992 r., do referendum z 2005 r. w sprawie konstytucji europejskiej, od strajków w listopadzie i grudniu 1995 r. do tych przeciw „prawu pracy” w 2016 r., analitycy i zwykli odbiorcy medialnego przekazu łatwo dostrzegali rozbieżność między faktycznym przebiegiem społecznych konfliktów a ich medialnym obrazem. Całe półki uniwersyteckich bibliotek zalegają analizy „wybiegów”, „wykrętów”, „dysproporcji”, „podwójnych standardów” – stosowanych prawie zawsze na niekorzyść protestujących.

PRASA NICZYM SIŁA POLITYCZNA

Jednak ta rozbieżność między redakcyjnymi praktykami a zawodowymi normami wiązała się kiedyś z wiarą w pewną zasadę, w to, że pole dziennikarstwa, od początku ściśnięte między

światami polityki i finansjery [1], dysponuje jednak autonomią wystarczającą, by dokonać autokorekty, by zminimalizować przepaść i wrócić do normy. Mediatyzacja konfliktu wokół „prawa pracy” i to, co się dzieje w związku z przyszłymi wiosennymi wyborami prezydenckimi we Francji sugeruje, że mechanizm autokorekty przestał działać. W redakcjach-korporacjach, poddanych coraz straszliwszym ekonomicznym naciskom, a jednocześnie coraz bardziej zależnych od publicznych pieniędzy, szefowie nie grzeszą brakiem równowagi, bo nigdy nie chcieli jej znaleźć. Jak przyznaje Giesbert, media nie obserwują, lecz toczą „walkę”. Działają jako siła polityczna.

„Prawo ulicy” (7 kwietnia 2016), „Rządy demagogii” (27 kwietnia), „Przywrócić porządek” (18 maja), „Społeczny terroryzm” (24 maja), „Dyktatura związkowców z CGT” (26 maja), „Wandale republiki” (18 czerwca): artykuły na pierwszych stronach Le Figaro przypominające kolekcję ulotek nawołujących do „wyeliminowania lewicy i złamania władzy związków zawodowych” (10 czerwca) wpisują się w tradycję tej zawsze trzymającej prawicowy kierunek gazety. Jednak teraz nawet media, które dotąd nie uchodziły za tak jednostronne, ostro atakują przeciwników nowego „prawa pracy” (stanowiących większość mieszkańców kraju), a zwłaszcza Powszechną Konfederację Pracy, najważniejszy związek zawodowy we Francji. Nathalie Saint-Cricq, odpowiedzialna na polityczne wiadomości w publicznej telewizji France 2, w czymś tak zdawałoby się zwyczajnym jak prawo do strajku widzi „postępującą na wszelkie sposoby radykalizację i dobrze zgraną rewolucyjną technikę, czyli jak sparaliżować kraj mimo skarłatej bazy, mimo że ruch ledwie zipie (...) Konfederacja Philippe’a Martineza chce wszystko wysadzić w powietrze” („Journal de 20 heures”, 23 maja). 15 czerwca „debata dnia” na i-Télé nosi tytuł: „Czy należy zakazać demonstracji?” Na swoim twitterowym koncie dziennikarz Europe 1 Jean-Michel Aphantie niemal dostaje apopleksji: „CGT chce rozszerzyć strajki na elektrownie termiczne i jądrowe. Jaki będzie następny krok? Wojna domowa?”

Wezwanie do broni?" (25 maja).

W książce „Stopień zero pisania” („Le Degré zéro de l'écriture”, 1953), Roland Barthes zauważa á propos stalinowskiej logomachii, że funkcją pisania jest ekonomia procesu, że ma ono na celu przedstawienie rzeczywistość w postaci już osądzonej, narzucenie bezpośredniej lektury potępienia. Opisany tu styl „edytokratyczny” i rozpowszechniane w kółko przez BFM-TV i France Info półprawdy dobrze podpadają pod taką definicję. „Część wandali, rozgrzanych do czerwoności przez nienawiść i zachęconych bezkarnością może ulec pokusie stania się terrorystami – straszy pisarz Pascal Bruckner – Nie sposób nie martwić się ich ewentualnym przyłączeniem się do szaleńców bożych” (Le Figaro, 21-22 maja). 15 czerwca, nazajutrz po najważniejszym związkowym proteście, jaki w całej historii V Republiki zorganizowano przeciwko rządowi (przynajmniej z nazwy) lewicowemu, największą uwagę dziennikarzy przyciągała fasada szpitala Neckera, uszkodzona podczas starcia z siłami porządku. Dyskusja została wywołana poprzedniego dnia przez premiera i prezydenta. Zrzucając całą odpowiedzialność za „dewastowanie budynku na CGT, zagrozili całkowitym zakazem demonstracji związkowych. Prezenter telewizyjnych wiadomości we France 2 David Pujadas bezwiednie wskazał na ironię losu, mówiąc do zaproszonego przez siebie sekretarza generalnego CGT o „ncydentach, które przesłoniły istotę rzeczy. Lecz kto zajmuje się tym „przesłanianiem istoty rzeczy?

Od ministerialnych gabinetów poprzez biura Medefu (stowarzyszenia pracodawców) po redakcyjne pokoje krążą powtarzane w kółko takie same zdania. Naprawdę trudno się domyślić, czy wezwanie do „zrobienia wszystkiego, by nie ulec szantażowi, przemocy, zastraszaniu, terrorowi” CGT, którego aktywiści „zachowują się trochę jak łobuzy, trochę jak terroryści”, pochodzi od skwaszonego dziennikarza, członka rządu, gwiazdy opozycji czy rzecznika pracodawców [2].

Niechć „Le Monde” wobec „parlamentaryzmu zracjonalizowanego,

czyli poddanego pałacowi Elizejskiemu, przez długi czas była elementem politycznej tożsamości tego dziennika. „Nie przestaniemy powtarzać, że robienie użytku z artykułu 49.3 [3] konstytucji w sytuacji, gdy władza wykonawcza ma absolutną większość, może być postrzegane tylko jak zamach na demokrację” – uważał jeszcze 10 lat temu (3 kwietnia 2006) szef „Le Monde”. Jednak dziennik wykonał efektowną wolte i wychwala dziś autorytarny socjał-liberalizm w osobie Manuela Vallsa. „Wiwat artykuł 49.3!” – 13 maja 2016 r. czytamy w gazecie usprawiedliwienie sztuczek, jakich użyto w czasie parlamentarnej debaty, by przepchnąć nowe „prawo pracy”: „Byłoby absurdem – niebezpiecznym absurdem – mówić w tym wypadku o zamachu na demokrację. Jak dobrze wiemy, władza wykonawcza wypływa, w pierwszym rzędzie, z wyborów prezydenta Republiki. I władza ta nie jest mniej demokratyczna (delikatnie rzecz ujmując) niż władza związkowa, a tym bardziej władza ulicy”. Lecz „jak dobrze wiemy”, zmiany w kodeksie pracy nie figurowały pośród 60 obietnic wyborczych kandydata na prezydenta François Hollande’a. Nie figurowały też w programie socjalistycznych posłów, którzy w czerwcu 2012 r. weszli do Zgromadzenia Narodowego – gdyby tak było zapewne nie zostaliby wybrani na posłów. Na kongresie Partii Socjalistycznej w 2015 r. przegłosowano nawet rezolucję idącą w przeciwnym kierunku.

SZCZEGACZKI PARTII PORZĄDKU

Prasa działa jak pudło rezonansowe frakcji politycznej – tylko której? Frakcji bez imienia, bez twarzy. Takiej frakcji, która nie wystawi nigdy kandydata. Niemniej rządzi... zachowaniami i sumieniami. A przynajmniej próbuje to robić. Ta partia porządku obejmuje szerokie spektrum polityczne, łączy świat pracodawców i reformistycznych związkowców, wysokiej administracji i finansjery, rynkowego dziennikarstwa i intelektualistów u władzy. Pojawiła się w czasie ideologicznego upadku, jaki dokonał się we Francji w latach 1980., w czasie, gdy partie władzy skupiły się na bloku

oczywistych problemów: wolny rynek, europejska integracja, atlantyzm, wojny „humanitarne”.

Ten sam ruch dokonał się w prasie. Tam, gdzie przed zwrotem z 1983 r. różnice dzielące „Le Monde”, „Le Figaro”, „Libération”, RTL i France Inter wytyczały dość szeroką ideologiczną przestrzeń, dziś mainstreamowe media, poza paroma tematami dotyczącymi społeczeństwa, zajmują tę samą pozycję. Pluralizm znajdziemy teraz tylko na marginesach – u niektórych niezależnych dziennikarzy, w dysydenckich sieciach informacyjnych, alternatywnych agencjach prasowych. Zaś zjednoczona, uproszczona partia porządku jednoczy dwa skrzydła, prawe i lewe, by stać się jednym, drapieżnym ptakiem. Nieformalna, trudna do uchwycenia – a przecież wyznacza ramy możliwych rozłamów i dopuszczalnych debat. Jednak w razie wybuchu poważnego konfliktu społecznego, politycznej walki, w której mogą ujawnić się klasowe rozwarstwienie, siła mas i słabość władzy, ta partia porządku ścina się, jak białko jajka wrzucone na gorącą oliwę.

„Jak miło byłoby rządzić, gdyby nie ten przeklęty francuski naród!” – wzdycha Giesbert („Le Point”, 10 marca 2016). „Francja nie dostała pomocy, lecz sama sobie też nie pomaga. Francuskie społeczeństwo nie stanęło na wysokości zadania, czy może przynajmniej się zmienić?”. No cóż, ludzie, którzy oczywiście nie myślą, jak należy, którzy nie są zdolni wspiąć się na wyżyny, na jakich przebywają ich przewodnicy, nie zasługują na uwagę. Bernard-Henri Lévy głosił, że „nie wolno nigdy traktować przeciwnika animalnie, zoologicznie, fizjologicznie – to złota zasada”. Zasada ta jednak nie stosuje się do związkowców, a zwłaszcza do Philippe’a Martinez’a. Albowiem tenże sam Lévy widzi w sekretarzu generalnym Powszechnej Konfederacji Pracy „zbitego psa”, i to psa rasy reprezentującej „rzeszę, bezkształtną, nieuformowaną masę, pre- lub postpolityczny tłum, karykaturę siebie samej, gotową stać się sforą” (Le Point, 9 czerwca). Rozumie się samo przez się, że próba odpowiedzenia eseiście w tym samym tonie

zostałaby nazwana powrotem totalitaryzmu i najczarniejszych-chwili-naszej-historii.

Tworzenie medialnego obrazu sprzeciwu wobec projektu Myriam El Khomri polega – poza poniżaniem protestujących – na ustawianiu po swojemu głównych figur biorących udział w grze. Począwszy od predefiniowania samej stawki walki. Walka przeciwników „prawa pracy” ze zjednoczonymi siłami pracodawców i rządu, przepuszczona przez dziennikarskie sito staje się serią konfliktów między różnymi frakcjami w społeczeństwie [4]. A nawet między samymi pracownikami. O ósmej wieczorem 26 maja 2016 r., po dniu strajku, w telewizyjnych wiadomościach kanał France 2 poświęcił 3 minuty i 20 sekund protestom, zaś 21 minut i 25 sekund „przemocy”, „blokadam”, małym przedsiębiorcom, brakowi benzyny i „szantażowi”, do którego CGT posuwa się wobec osób zarządzających mediami. Los członka CGT, na którego wpadł samochód forsujący związkowe zapory w Marsylii przedstawiony jest w 8 sekund – w chwili, gdy oddajemy ten artykuł związkowiec wciąż jest w śpiączce. Ważne jest też, by skłócić strajkujących z kibicami futbolu: 10 czerwca, w dzień rozpoczęcia odbywających się we Francji mistrzostw Europy, Échos na pierwszej stronie pisze, jak „szantaż społeczny zepsuł nam święto”, zaś Figaro podkreśla, że „związkowe licytowanie się padło cieniem na otwarcie Euro”.

W końcu chodzi o rozwodnienie sprawy akcji protestacyjnych przez pokazywanie ich jako bijatyk, przedstawianiu ich tak, jak gdyby protesty polegały na walce sił chaosu z rządami rozumu. 1 maja 2016 r. na kanale BFMTV prezenterka Apolline de Malherbe osiem razy dopytywała swojego gościa Oliviera Besancenota, byłego rzecznika Nowej Partii Antykapitalistycznej, czy potępia przemoc, a potem z jedenaście razy o to, czy „wandale są częścią manifestacji?” Jednak jej uparta dociekliwość, której nie miała dość, by zapytać ministra spraw wewnętrznych o przemoc ze strony sił porządkowych, tym razem się nie sprawdziła. „Też trochę znam się na medialnych gierkach, wiem, kiedy ktoś chce ze mnie coś

wycisnąć” – Besancenot nie ukrywa, że pokrzyżował dziennikarce plany. Temu, o co chodzi protestującym poświęcono cztery minuty, przez jedenaście próbowano wydusić z gościa audycji przyznanie się do winy [5].

Od czasu amerykańskiej studenckiej rewolty w latach 1960. [6], analiza pracy dziennikarskiej w okresach społecznego wrzenia pokazuje pewien niezmienny kierunek. Mass media bywają życzliwe jedynie wobec tych ruchów, które obiecują nigdy nie przekroczyć pewnej liczby uprzednio przez nich wyznaczonych czerwonych linii: nie organizować strajków (a jeśli już, to tak, żeby nikomu nie zawadzać), nie blokować transportu, portów, rafinerii, nie zakłócać porządku publicznego, nie przerywać przedstawień teatralnych, zawodów Tour de France... A przecież w kraju, w którym prezydent i jego sztab generalny każdego 14 lipca z wielką pompą obchodzą rocznicę zbrojnego ataku, jaki w 1789 r. „wandale” przypuścili na państwowe więzienie, chyba wszyscy wiedzą, że niewiele społecznych postulatów, dziś oczywistych, udałoby się spełnić (także w ramach demokracji) bez przekroczenia granic legalności. I dotyczy to także innych krajów, dotyczy ruchu związkowego, ekologicznego, walki czarnych i homoseksualistów o prawa człowieka w USA, walki kobiet o dostęp do legalnej aborcji. Lecz twórców medialnej historii historia niczego nie nauczyła. Kto przekroczy narysowane przez nich granice, naraża się na medialne gromy, na przywołanie do porządku.

W lutym 2013 r. rozmawiającemu z przedstawicielem strajkujących pracowników PSA-Aulnay [7] Jean-Pierre’owi Elkabbachowi świetnie udało się połączyć dwie role: dziennikarza prowadzącego wywiad i oskarżyciela publicznego. Przerywając co chwilę wypowiedź związkowca, tłumaczył mu, czym powinna być walka: „Sprzeciw bywa potrzebny. Ale wrzaski, inwektywy, groźby, ciosy – są raczej bezużyteczne!” (Europe 1, 4 lutego 2013). Trzy lata później Elkabbach strofuje z kolei ministra transportu, zbyt ustępliwego na jego gust: „Czy państwo zachowuje się odpowiedzialnie? Dlaczego nie zażąda –

skoro najwyraźniej jest to konieczne – powrotu do pracy? (...) Co musi się stać, żeby władze to zrobiły? Czego jeszcze wam trzeba? Śmieci się pierzą, roznoszone są infekcje, siedem milionów szczurów w tej chwili biega po Paryżu. Tak, tak, na jednego Paryżanina wypadają trzy szczury” (Europe 1, 10 czerwca).

WE WŁADZY UDZIAŁOWCÓW

Lecz kogo lub co właściwie reprezentują Giesbert i Elkabbach? Czy da się zredukować dziennikarstwo do ich ziem plemiennych, wyznaczonych i utrzymywanych przez akcjonariuszy, skoro zawód ten oficjalnie wykonuje prawie 36 tys. osób? Tuż po II wojnie światowej dziennikarze mieli władzę podzieloną na główne tytuły prasowe. Stworzyli stowarzyszenie i postanowili odtąd „kwestionować struktury, który nie gwarantują czytelnikom sprawdzonych i pełnych informacji” [8]. Jednak ich determinacja w walce o to, by „interes prywatny nie przeważał w prasie nad publicznym” osłabła w latach 1980., co miało związek z transformacją sektora medialnego: z kryzysem czytelnictwa, spadkiem dochodów z reklam, rozkwitem technologii cyfrowej, koncentracją przemysłu. Upowszechnianej przez wiele filmów ikonicznej wizji wolnej jednostki jako przeciwwagi dla władzy przeciwstawia się posępna rzeczywistość multimedialnych wyrobników skazanych na produkowanie „kontentu” pełnego słów-kluczy wyskakujących w mediach społecznościowych. Zdając sobie sprawę z dyskredytacji tego zawodu, grupa „odważnych dziennikarzy” zwróciła się w maju tego roku z apelem: „Ciągle jesteście pod presją, wymaga się od was coraz większej wydajności (coraz więcej artykułów, reportaży do napisania). (...) Nie macie już ani czasu, ani możliwości, żeby prowadzić dziennikarskie śledztwa. Nie macie środków ani czasu, żeby starannie sprawdzać informacje. Musicie wybierać takie tematy, które będą się cieszyć największym zainteresowaniem” [9]. Odpowiedzi napłynęły wielką falą.

Gazety wyprzedawane za kromkę chleba; dziennikarze wciągnięci

w wir prekariatu, gotowi na wszelkie ustępstwa wobec biznesmenów godzących się podreperować finansowo ich firmę: układ sił stał się tak korzystny dla właścicieli, że trudno już zliczyć szefów gazet i innych mediów, których nie chce miażdżąca większość ich ekip, a jednak zachowują swoje stanowiska dzięki decyzjom akcjonariuszy. W krótkim okresie od 11 maja do 10 czerwca 2016 r. szefostwo gazety „L’Obs” (dawniej „Le Nouvel Observateur”), kanałów France Télévisions oraz i-Télé dostały wotum nieufności. Nie przyniosło to żadnego efektu. W październiku 2015 r. redakcja „L’Expressu”, tytułu niedawno kupionego przez Patricka Drahię, dała wyraz braku zaufania do redaktora naczelnego Christophe’a Barbiera. Mimo fatalnego bilansu swoich działań, naczelny wciąż siedzi na swoim stołku. Podobnie w 2011 r. właściciel „La Libération” zostawił na stanowisku Nicolasa Demoranda, choć dziennikarze byli przeciwko niemu.

Fakt, że protesty udaje się tłumić w zarodku rozzuchwala właścicieli dzienników, więc oczywiście coraz bardziej wykorzystują swoją przewagę. Prawicowy senator Serge Dassault mógł się przekonać, że Le Figaro pobłażliwie traktuje jego problemy z wymiarem sprawiedliwości (jeśli w ogóle się do nich odnosi), że jego umowy na sprzedaż broni będą emocjonalnie chwalone [10] i że do państw kupujących samoloty myśliwskie Rafale podchodzi się delikatnie. „Nie mamy już prawa mówić źle o krajach, w których Dassault robi swoje interesy” – zdradza nam pewien dziennikarz [11]. Na dodatek Dassaultowi udało się sprawić (a redaktorzy nie mają sobie nic do zarzucenia), że jego dziennik zmienia jest z regularnością metronomu w służbę miliarderów-przemysłowców, przyjaciół producenta samolotów i wielkich reklamodawców Le Figaro.

Ta naga, brutalna władza właściwie nie musi niczego żądać. Bo przecież jej życzenia odgadywane są z wyprzedzeniem; boimy się tym bardziej, że nie bardzo pojmujemy jej racje, oraz dlatego, że nie musi ona przedstawiać żadnych racji. Weźmy przykład „L’Obsa”. Od lat gazeta ta jest w coraz gorszej kondycji:

sprzedaż spada, jest coraz mniej opiniotwórcza. Bo też jakim cudem tygodnik, który przedstawia się jako „lewicowy, obywatelski, realistyczny, postępowy” mógłby zdobywać nowych czytelników, skoro dwa lata temu szef redakcji Matthieu Croissandeau życzył „bez podtekstów i dwuznaczności, sukcesu Manuelowi Vallsowi i jego nowemu ministrowi gospodarki, Emmanuelowi Macronowi” [12]?

ZDEJMIJMY MASKI

Najdelikatniej rzecz ujmując, związania się „L’Obsa” z tą marną władzą nie zwieńczył bynajmniej „pełen sukces”. W grudniu 2015 r. słupek sprzedaży zaczął obniżać się jeszcze gwałtowniej. Akcjonariusze dali więc redaktorowi naczelnemu miesiąc na przedstawienie projektu naprawy sytuacji pisma [13]. Termin faktycznie był bardzo krótki, zadanie prawie niewykonalne, kredyt tygodnika mocno nadwerężony – tak więc wszyscy wyobrażali sobie, że dni Croissandeau na czele „L’Obsa” są już policzone. Tymczasem było zgoła inaczej. Dzielny naczelny wykaraskał się, pozbywając się dwójki swoich zastępców, przy czym bardziej lewicową od niego Aude Lancelin po prostu wyrzucił – co stanowiło pewne novum w dziejach tej redakcji. 11 maja 2016 r. 80% dziennikarzy pracujących w tym piśmie zażądało odejścia Croissandeau. Jednak z pomocą znów nadciągnęli akcjonariusze: Xavier Niel (partner Delphine Arnault, córki Bernarda Arnault), Pierre Bergé, Matthieu Pigasse i Claude Perdriel, niezwłocznie oznajmiając, że mają do redaktora naczelnego „całkowite zaufanie”.

Podczas gdy Croissandeau mówił o „decyzjach administracyjnych”, pan Perdriel usprawiedliwiał je politycznie. Bo przecież blisko związana z ruchem „Nuit debout” Aude Lancelin przekroczyła (wytyczoną przez niego) socjaldemokratyczną linię dziennika, publikując w działach, za które była odpowiedzialna, „antydemokratyczne artykuły”, które „złamały mu serce”. W tym kontekście wspomniał o artykułach Alaina Badiou, Jacquesa Rancière’a, Emmanuela Todda, Yanisa Varoufakisa... Z kolei Matthieu Pigasse przekonywał, że „nie ma

żadnego problemu z linią polityczną Aude Lancelin, albowiem sam podziela jej poglądy” [14]. A jakie było zdanie – czy też werdykt – Xaviera Niela, najbardziej znaczącego spośród akcjonariuszy? Czyżby biznesmen działający w sektorze, który bardzo zależy od decyzji fiskalnych, prawnych i gospodarczych rządu, uległ żądaniom Pałacu Elizejskiego, który niecierpliwi się, by ujrzeć, jak L’Obs zwalcza radykalną lewicę i wpiera prezydenta republiki? Tak zdaje się sądzić związek zawodowy redaktorów pisma L’Obs, podkreślając, że istnieje „poważne podejrzenie nieakceptowanej interwencji politycznej na rok przed wyborami prezydenckimi”. Z całej tej sytuacji płynie jedna nauka: bez względu na deklarowaną niezawisłość, szef redakcji mianowany przez akcjonariuszy i w ten sposób zdany na ich (interesowną) wielkoduszność, pozostaje zależny od ich interesów, od ich przyjaźni i od ich kaprysów.

Zdejmijmy maski! [15] Wiedzieliśmy, że media sprzyjają neoliberalnym zasadom – z gorącego przyjęcia, jakiego doczekało się zniszczenie kodeksu pracy [16] możemy wnioskować, że tej postawy będą trzymać się uparcie i perinde ac cadaver [17], rozciągając ją tak daleko, jak tylko mogą sięgać powodowane przez nią polityczne i społeczne katastrofy. Wiedzieliśmy, że media niezbyt troszczą się o demokrację w chwilach, gdy wybory powszechne sprzeciwiały się ich planom europejskiego zjednoczenia. Kolejnym krokiem, jaki zrobiły media było życzliwe przyjęcie wprowadzenia stanu wyjątkowego oraz wsparcie zawieszenia prawa głównych central związkowych do manifestowania w stolicy (rzecz, jaka nie wydarzyła się od 1967 r.). Ideologiczne jądro prasy broniącej demokratycznych zasad i wolności obywatelskich przestało być nienaruszalną świątynią. Obecnie dziennikarze wspierają autorytarny kierunek działań władzy, a robią to tym skwapliwiej, im mocniej na ich szyjach zaciskają sznur ich właściciele – przemysłowcy.

Autorstwo: Serge Halimi, Pierre Rimbert

Tłumaczenie: Anastazja Dwulit

Źródło: Monde-Diplomatique.pl

PRZYPISY

[1] Patrick Champagne, *La Double Dépendance. Sur le journalisme, Raisons d'agir*, Paryż 2016.

[2] Chodzi o Pierre'a Gattaza, przewodniczącego Medefu, *Le Monde*, 31 maja 2016.

[3] Artykuł 49 francuskiej konstytucji i jego trzeci ustęp, daje rządowi możliwość wprowadzania i uprawomocniania swych decyzji na swoją polityczną i prawną odpowiedzialność bez zgody parlamentu – Manuel Valls wykorzystał ten artykuł wprowadzając zmiany w prawie pracy.

[4] Patrz: Gilles Balbastre, „Les médias, gardiens de l'ordre social”, *Le Monde diplomatique*, wrzesień 2003.

[5] Frédéric Lemaire, Mathias Reymond, „Loi travail: matraquages médiatiques sur les manifestations”, *Acrimed.org*, 11 maja 2016.

[6] Todd Gitlin, *The Whole World is Watching. Mass Media in the Making & Unmaking of the New Left*, University of California Press, Berkeley 1980.

[7] Zob. film Françoise'a Davisse'a *Comme des lions*, 2016.

[8] Jean Schwoebel, *La Presse, le Pouvoir et l'Argent*, Seuil, Paryż 1968. Patrz: *Sociétés de rédacteurs, un un rêve de journalistes*, *Le Monde diplomatique*, maj 2007.

[9] Apel na stronie: Journalistesdebout.com.

[10] Patrz: *Cet avion qui émerveille Le Figaro*, *Le Monde diplomatique*, marzec 2016.

[11] *Le Monde*, 2 października 2008.

[12] Matthieu Croissandeau, *Le PS, ses totems, ses tabous, L'Obs*, Paryż, 4 września 2014.

[13] Patrz: Enguérand Renault, „L’ultimatum du trio Bergé-Niel-Pigasse au directeur de L’Obs”, Le Figaro, Paryż, 17 grudnia 2015.

[14] Libération, Paryż, 20 maja 2016.

[15] Bas des masques – to francuski tytuł filmu Richarda Brooksa Deadline – U.S.A (1952) traktujący o wolności prasy.

[16] Patrz: Gilles Balbastre, Combien de pages valez-vous?, Le Monde diplomatique, listopad 2014; także: Julien Salingue, Trois mois de couverture médiatique des mobilisations contre la „loi travail”, Acrimed.org, 6 czerwca 2016.

[17] Według jezuickiej zasady „na podobieństwo trupa”, czyli ze ślepych posłuszeństwem.